

UKRYTY W SŁOŃCU



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

UKRYTY W SŁOŃCU

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-63-7

Copyright © Ireneusz Iredyński

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Czekałem na nią przed sklepem z serami; stałem w silnym, popołudniowym słońcu, czując, jak na czole zbiera mi się pot, zimne i ciężkie niby rtęć kropelki. Tu, pod murami domów, gdzie rozgrzane płyty chodnika i rozżarzone tynki sprawiały, iż powietrze było rzadkie (brak powiewu spotykanego niekiedy na szerokich ulicach), trudno było oddychać i jak zawsze w takich wypadkach starałem się wciągać powietrze rytmicznie a spokojnie, i jak zawsze mi się to nie udawało; myśląc o oddychaniu chwytałem powietrze otwartymi ustami; wielkie hausty, małe, potem zadyszka; wreszcie kropla potu potoczyła mi się po nosie i wycierając twarz zapomniałem o udrękach wciągania rozrzedzonego powietrza o smaku spalin i kurzu.

Ze sklepu wychodziły przeważnie kobiety (zauważyłem też dwóch mężczyzn o twarzach standardowych urzędników; takie twarze wymyślają schematyczni karykaturzyści) niosąc higienicznie wyglądające paczki (biały, twardo szeleszczący przy zginaniu papier), przechodziły obok mnie, kierując się do niedalekiego przystanku tramwajowego. A ja stałem w słońcu z poczerwieniałą twarzą, z kroplami potu na czole i nosie, potu, który wydawał mi się zimny i ciężki, gdy te kobiety za chwilę znajdą się w cienistych i pustych o tej porze (w biurach i fabrykach praca kończy się za godzinę) tramwajach; przeszły dwie blondynki, jedna z nich śmiała się, zauważyłem, że ma popsute zęby i szeroką, niemodną obrączkę na palcu.

Spojrzałem na zegarek; trzy minuty po trzeciej. Na mej dłoni weszły błękitne żyły, pory w jasnym świetle słońca, stwarzającym niebieskawy odcień, zdawały się być rozszerzone, przez co skóra upodobiła się do drobniutkiego sita. Przejechała z hałasem samochodowa cysterna z napisem: cement luzem. Podniosłem dłoń do warg, by zetrzeć zbierający się pod nosem pot, wywoływał swędzenie. Cysterna zniknęła za zakrętem i wtedy zobaczyłem znowu tego człowieka, stał w tej samej pozie (twarz przytknięta do szyby księgarni) co przedtem, nim go na kilka sekund zasłonił popielato lakierowany wóz z napisem: cement luzem. Ubrany w szary garnitur (w taki upał!) wodził twarzą tuż przy samej szybie, jakby był krótkowidzem, ten ruch kojarzył mi się z obwąchiwaniem czegoś przez psa (tak samo zgięty grzbiet) z tym, że był bardziej metodyczny i rzekłbym: uparty.

Stojąc w tym rozrzedzonym powietrzu, patrząc na człowieka w szarym garniturze i z powodu zbyt wielkiej odległości niezbyt dokładnie odróżniając rysy, widziałem go i nie widziałem, stawał się kimś innym, demonizował się we mnie, był symbolem, a właściwie syntezą tych wszystkich mężczyzn w szarych garniturach i twarzach, których się nie zapamiętuje (wynik pomieszenia i zrównania socjalnego; średniowiecze było od tego wolne, tak mi się przynajmniej wydaje, feeria barw — cóż za banały nasuwają się przy wspomnianiu odległych epok — ta bufiastość rękawów i obcisłość kolorowa pludrów, indywidualność zapamiętywana herbami, tymi znakami mnemotechnicznymi osobowości) i teraz te twarze stały się jedną twarzą, i te sylwetki w szarych, flanelowych garniturach stały się jedną sylwetką, przesuwającą się przed czystą taflą chroniącą przed kurzem i plwocinami (książki o podobnych, kolorowych i błyszczących okładkach, które to okładki spełniają tę samą broniącą czynność w stosunku do książek, co szare ubrania do ludzi), i nie patrzyłem już na człowieka przesuwającego swoją twarz tuż przy szybie księgarni, a jednak go widziałem patrząc na inne przedmioty, szare ubrania i pusty owal twarzy, bez oczu, nosa, ust.

Po raz n-ty otarłem twarz z potu; pocenie wydało mi się teraz czymś naturalnym, upał, przez który powietrze było rozrzedzone, sprawił, iż spotęgowana praca gruczołów potowych nie kojarzyła się z biologią, z mięsem, z zaczerwienioną skórą, że nie starałem sobie uplastycznić widzianych kiedyś hal rzeźni miejskiej (co zawsze czyniłem wiedząc, że się zanadto pocę), po prostu krople spływające mi po twarzy przestały być zimne i ciężkie (co za przemiana w przeciągu minuty!), a stały się czymś w rodzaju tęczowej poświaty (światło

słoneczne załamywało się na mych rzęsach, oczy miałem przymrużone), stały się warstewką ciepła nałożonego na moją twarz; być może była to sprawa uświadomienia sobie dystansu pomiędzy mną, pocącym się, o ostrym zapachu na dłoniach i pod pachami, a stojącym o kilkadziesiąt metrów ode mnie mężczyzną w szarym ubraniu, podobnym do pomnika przysypanego kurzem, konwencjonalnego zarówno w upale, jak i szklistym powietrzu zimy.

Przedemną stanęła dziewczynka, mogła mieć siedem, osiem lat, na chudziutkich nóżkach pękaty tułów, przez chwilę wpatrywała się w moją twarz oczami podobnymi do pestek śliwek, a potem zasłaniając brudną małą dłońią oczy przed słońcem zaczęła rozmowę. Taki dialog: Która godzina, proszę pana? Cztery minuty po trzeciej. Czy aby na pewno? Mój zegarek dobrze chodzi. Dziękuję panu i szczęśliwej drogi.

Odeszła o parę kroków, wyciągnęła z kieszeni kredę i zaczęła coś rysować na płytach chodnika. Uśmiechnęła się, przeżywałem tę rzadką chwilę podwójnej świadomości, gdy wiedziałem, że należy się uśmiechnąć, że moje wargi rozciągają się, a jednocześnie nie było u mnie „ciemnego instynktu śmiechu” nie pozwalającego na autoanalizę, śmiechu zaborczego, tak samo gwałtownego, jak czasem gwałtowną bywa pieszczota; zdawało mi się, że w tej chwili patrzę na kogoś uśmiechającego się, kto stoi obok mnie. Uśmiechałem się z archaicznego wyrażenia tego brudnego grubaska (a jednak był w niej wdzięk; nie jest prawdą powszechna opinia, że każde dziecko jest urocze. Są nimi jedynie dzieci brzydkie; piękne, małe lalki w przeciwieństwie do pięknych dorosłych nie wzbudzają żywszych uczuć, patrzę na nie jak na wytwory dobrej firmy zabawkarskiej lub kosmetycznej, krzywda im uczyniona nie sprawia wrażenia, jest podobna do zwichnięcia nogi celuloidowej panience lub do zmydlenia lazurowego misia), z tego „czy aby na pewno” i w gruncie rzeczy normalnego życzenia (nie odczułem tu surrealistycznego zestawu): szczęśliwej drogi. Tak, przeżyłem chwilę podwójnej świadomości i kiedy przestałem się uśmiechać, spostrzegłem (wiedziałem o tym przez cały ten czas), że mężczyzna w szarym ubraniu stoi przed kioskiem i czyta gazetę; po czerwonej plamie tytułu poznałem, że jest to popularna popołudniówka.

„Proszę pana.” „Tak?” „Niech pan (mężczyzna przewrócił stronę) popatrz.” Mała wzięła mnie za rękę i przeszliśmy w ten sposób około pięciu metrów; jej dłoń była gorąca i wilgotna, lecz była to dla mnie wilgoć przyjemna. Stanęliśmy nad rysunkiem. Na chodniku był narysowany człowiek: koło-głowa z kreską nosa, kropkami oczu i kreską ust, cienka szyja, tułów w kształcie jajka i patyki kończyn, ręce tego stwora rozłożone były w geście rozpaczy lub zdziwienia. Taki dialog: „Ładne.” „To pan.” „Aha...”

Mała nagle zaczęła ścierać rysunek czubkiem płóciennego pantofelka; chciałem coś do niej powiedzieć, ale nie zwracała na mnie uwagi. Odszedłem na dawniejsze miejsce, przed sklep z serami.

Pod stopą dziewczynki nikła śmieszna figura, pozostały jedynie ręce patykowate, wyrażające coś przejmującego (mała nie dosięgła jeszcze stopą będących w dużym rozstawie kredowych kończyn) i nagle zrobiło mi się niedobrze, jakby ten śmieszny grubasek naprawdę mnie niszczył, wycierał, jakby to były naprawdę moje ręce wyciągnięte w aktorskim, sugestywnym geście, ruchu ostatnim i ostatecznym. Krople potu stały się na powrót zimne i ciężkie, tak, to na pewno przez to, że stałem w słońcu, zrobiło mi się niedobrze (mężczyzna w szarym garniturze schronił się — prawdopodobnie przed skwarem — do bramy), nie mogę przecież uwierzyć, że czynność małej jest tego przyczyną. Oparłem się o mur tuż obok wejścia do sklepu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI